

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mąd kwartal. 1 Zł. 20kr.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmie petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. iz dopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie Biuro ekspedycji w księ garni H. W. Kallenbacha

## UCZONY.

### Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

XV.

### ADOPTACJA.

(Ciąg dalszy.)

Takie więc podwójne katusze cierpiał biedny pułkownik. Z jednej i drugiej strony trapiły go widma przeszłości, pobudzały go wspomnieniem do żądz wygasłych, a gdy się je w sobie znaleźć spodziewał, znalazł tylko węgle i popioły.

— Ani jeść, ani żyć, ani używać, mrucał do siebie stary grzesznik, i zgrzytał zębami.

Kamila odgadła tragiczne myśli swego kochanka, i i lękała się tragiczniejszego jeszcze ztąd dla siebie końca. To ją martwiło i męczyło, a myśl ta gorzka poorała jej lica w kilku dniach, i zagasiła istotny blask jej oczu. Żadnej majątku tyczącej się propozycji nie przyjął dotąd stary pułkownik, a gdy o ślubie coś mówić zaczęła, pułkownik zasłabł na podagrę, i zamiast projektowanej podróży do wód zagranicznych, zaprojektował powrót do wód galicyjskich, dokąd to rzeczywiście i przybył. Kamila lękała się, że niedoprowadziwszy swoich planów z starym pułkownikiem do skutku, ostatnią przegra stawkę.

Tymczasem bił się z myślami stary pułkownik, zwracał głowę na prawo i na lewo, marzył o miłostkach i o smacznych obiadach. Patrząc na Kamilę odzywało mu się serce, patrząc na otyłą Francuzką, marzył żołądek. Lecz byli to dwaj inwalidzi, nieudolni dzisiaj do dawnych czynów bohaterских, dla których polem popisów były niegdyś kulisy i hotele najdroższe.

Oglądając się jeszcze raz stary pułkownik na prawo, i z westchnieniem pożegnał sny serca swego. Oglądając się na lewo, przebolewał rezygnacją rozkosz gastronomicznych. Spojrzał wprost przed siebie, i ujrzał papugę. Z dwóch więc myśli niemożliwych, wybrał pośrednią, a tą była ulubiona papuga, biały Kakado! I wybrał najlepiej.

Przychylił sine, zmarszczone usta do białego pierza papugi, i pieścił się wybraną do końca życia swego towarzyszką. Kakado wzajem roztoczył przed nim bogactwo

piór swoich, rozpuścił czub nastrojony i krzyknął przeraźliwie.

Najszcześniejsze w tej chwili śmiertelne istoty na ziemi były: Stary pułkownik i Kakado!

Wewnętrzne zadowolenie okrasiało policzki starca słabym rumieńcem. Cieszył się szczęśliwym swoim wyborem.

— Jesteś smutna, *ma chere*, przemówił biorąc za piękną główkę Kamili i przyciskając ją do piersi, cóż ci to dziecko moje?

— Podzielam twój smutek *mon cher ami*, odparła krótko Kamila.

— Mój smutek już się skończył, Kamilciu, drogie moje dziecko!

Kamila spojrzała badawczo w twarz pułkownika, zadziwił ją niezwykły sposób mówienia. Z zimnej twarzy jednak starca nie wyczytała. Była ona podobną do białej ściany grobowca, na którym czas i burze zatarły złote pismo. Nie na niej nie było prócz szczątek i ruin życia samolubnego, a pismo ducha dawno z niej uleciało. Musiała więc tylko za pomocą rozmowy szukać wyjaśnienia tego dziwa.

— Czemuż mój drogi, zagadnęła, nazywasz mnie dzisiaj dzieckiem, kiedyś ci dotąd była przyjaciółką i narzeczona?

— A prawda, prawda, odpowiedział starszek, nie stosownie nazwałem cię dzieckiem, bo właściwie ja niem byłem!

— Cóż to znaczy, *mon cher*?

— To znaczy, że starcy stają się często dziećmi.

— O twój wiek *mon ami*, nie jest wiekiem starca.

— Mówmy na rozum Kamilciu, jam stary, i to mocno stary!

— Nie, tyś chory, ale moja miłość ozdrowi cię, odmłodniejesz.

— Miłość twoja cóż starcowi pomoże?... co umarlemu kadzidło.

— Jesteś dzisiaj w melancholii, wczoraj deszcz padał przez całą noc, powietrze nieczyste, barometer upadł.

— Przyznasz mi sama, Kamilciu, że jeśli dotąd dzieckiem nie byłem, bawiąc się twoją miłością, to moge ciebie nazwać dzieckiem, jeśli w przyszłości ze mną jakie bądź szczęście widzisz.

— Ach zostaw mnie to szczęście, jeśli już koniecz-  
nie tylko dzieci szczęśliwymi być mogą!

— Nie Kamilo, nie bądźmy oboje dziećmi.

— Dla Boga, zastraszasz mnie!

— Lepiej jest powrócić dzisiaj do rozumu, niżeli, a-  
by nas świat przez swoje szyderstwo do niego powołał.

— To okropnie...

— Jam stary Kamilo, i mogę cię słusznie dzieckiem  
nazwać.

— Brak mi tchu...

— A cóż świat na to powie?.. śmiać się, śmiać się  
będzie z głupiego starca, ty sama śmiać się będziesz ze  
mnie, żem uwierzył memu szczęściu!

— Moje serce pęknie!..

— No, no, tak źle znami nie będzie, *ma petite*, trze-  
ba coś obmyśleć..

— Mój Boże — przerwała Kamilla, upadając na po-  
ręcz krzesła i łamiąc ręce, moje sny i marzenia przepadły,  
jam zhańbiona i opuszczona, spotwarzona przez opinię świa-  
ta, sierota... jam wszystko opuściła dla ciebie, jam się wy-  
rzekła wszelkich lepszych nadziei, aby się tylko tobie po-  
święcić, tobie, coś mnie niedawno nazywał aniołem, gwiaz-  
dą swoją, królową serca... a dzisiaj..

Głos papugi przerwał na chwilę rozpacz zawiedzionej  
kobiety. Kamila spojrzała na wesołego ptaka, i zda-  
wało jej się, że w brzydkim jego wzroku widzi radość try-  
umfu nad nią odniesionego. Zgrzytnęła przeraźliwie i rzu-  
ciła głową o poręcz krzesła, aż warkocze się porozplaty-  
wały. Nastąpiła okropna chwila jak najprawdziwszych i  
najgenialniejszych spazm, podczas gdy uniesiony szaleń-  
stwem zwycięstwa Kakado przeraźliwym krzykiem, jakby uśmie-  
chem mały tysiąca, wszystkich karczmę mieszkańców po-  
przestraszał.

Była to nader niemiła przerwa w zatrudnieniu otyłej  
Francuzki. Odsunęła talerz od siebie, a wyjąwszy z kiesze-  
ni mały ze słoniowej kości misternie wyrobiony flakonik  
wódki kolońskiej, podniosła się z krzesła, aby swęj przy-  
jaciółce iść na ratunek. Tymczasem wyciągnął pułkownik  
długą, kościstą rękę, położył ją na ramieniu Kamili i do  
siebie ją przybliżył. Skuteczniejszy był to środek niżeli  
wódka kolońska, bo tknięte takim talizmanem uspokoiły się  
kurcze nerwowe Kamili, która złożywszy głowę na piersi  
swego narzeczonego, w głos szlochała.

— Uspokój się *ma petite*, zawołał pułkownik głosem  
jak mógł najmelodramatyczniejszym, wszak mówię ci, że  
to tak źle nie będzie.

— Ach moje biedne serce, szlochała Kamila.

— Twoje serce zostanie na zawsze przy mnie.

— Nie, nie, to sen, to sen.. a jam go tak ko-  
chała!..

— I kochać go będziesz, jak dotąd!

Kamila zapomniała nagle o spazmach i konwulsjach,

i jak najprzytomniej podniosła głowę, aby spojrzeć w twarz  
zagadkowego pułkownika. Ale i tą razą z niej nic nie  
wyczytała.

— Jak to być może? zapytała się, przy zmysłach  
jak najzdrowszych.

To słuchaj z uwagą, bo tak mi się podobasz. Ja two-  
im mężem być nie mogę, bo śmiałyby się z tego świat i ty  
sama byś się śmiała. Ciebie jednak i twoich uczuć dla  
mnie za nic w świecie bym się nie wyrzekł. Idzie tylko o  
pozór dla świata, przez co i ja i ty moglibyśmy jego wy-  
maganiom zadosyć uczynić.

— Nie, nie, rzekła Kamila kręcąc mądrą główką, na  
mnie rzuconoby potwarz!.. wszak ślub, nie jest niczem in-  
nem jak zadosyćczynieniem tym przesądnym wymaga-  
niom....

— Więc ślub weźmiesz.

— Jak to?

— Ja cię, *ma chère*, przyjmę za córkę, i to przed  
światem ogłoszę.

— I cóż ztąd?

— A ty wyszukasz sobie męża, i z nim ślub we-  
źmiesz.

— A mój pierwszy naręczony.. i ojciec?..

— Jako wasz ojciec będę z wami mieszkał!

Zapaliły się jak dwie pochodnie, oczy Kamili, po-  
chwyciła suchą rękę staruszka i poczęła ją całować bez  
miary. Słów jej zabrakło na oddanie mu uczucia wdzięcz-  
ności, w salonie nastąpiło długie, głuche milczenie.

Pułkownik uśmiechnął się do siebie, że padł na taką  
myśl genialną.

Wtem nadszedł posługacz kąpielowy, i oznajmił Ka-  
mili, że jej brat umiera.

Gdyby Kamila inną razą była tę wiadomość odebra-  
ła, zastanowiłaby się nad tem, czyli przyznanie jej się do  
biednego brata byłoby w obec pułkownika przyzwoitością  
czy nie. Ale Kamilę zaszła ta niespodziana wiadomość  
śród jej snów szczęśliwych, w chwili, gdy gwiazda jej szczę-  
ścia najjaśniej świeciła. A w chwili szczęścia nawet i  
zbrodniarz jest szlachetnym, i u niego przemaga wtedy głos  
serca.

To też nie namyślała się długo czuła siostra, kilka  
ulotnych pieszczot rzuciła swemu dobroczyńcy i wybiegła z  
pokoju.

W ubogiej izdebce, na poddaszu, na grubym sie-  
niku bez poduszki, leżał Kazimierz. Obok niego siedział  
Robert, biały jak statua z białego marmuru.

Kamila rzuciła się na brata, i gorącemi łzami obla-  
ła twarz jego. Płakała, ale płakała z nadmiaru szczęścia  
swego, bo Kamila była teraz szczęśliwą. Nawet serce jej  
było dzisiaj jakoś miękkie, bo szczęście rozmiękcza każde  
serce.

Kazimierz cieszył się współczuciem swojej siostry.

— Ale ty nie umrzesz, nie! zawołała śród łkania całując brata.

— O nie Kamilo, nie, odpowiedział brat.

— Ty nie umrzesz bo ja jestem szczęśliwa, jestem panią milionową, moje ekipaże, moje ludzie, moje konie i salony, to wszystko będzie i twoje.

— Jakto, zapytał się Kazimierz.

— Pułkownik przyjął mnie za córkę, zapisze mnie majątek, a ja wybieram sobie męża według mojej woli.

— Nie Kamilo, odparł Kazimierz zasępiając czoło, nie dla tego żyć będę, żeś ty w ten sposób szczęśliwa, ale żyć będę dla własnego mego szczęścia. O szczęście moje, Kamilo, to czyste jak łza anioła, jak promień nieba. Ale sprawca całego mego szczęścia jest mój przyjaciel, twój wyprawca Robert.

Dopiero teraz spostrzegła Kamila Roberta. Twarz jego była strasznie bladą, ale na ustach igrał uśmiech wewnętrzznego zadowolenia.

Kamila zbliżyła się do niego, i podała mu rękę do uścisku. Uścisk ten trwał długo, Kamila patrzyła z upodobaniem w ciemnobłękitne oczy poety, a jakaś myśl nowa zaskliła się w jej oku. Robert stał martwy i zimny, okiem szklanym spoglądał przed siebie.

Kazimierz w kilku słowach wyjaśniał jej swoje położenie.

W tem wszedł służący, i wręczył Robertowi bilecik od Julii.

Kamila zamyśliła się na chwilę.

Spojrzała jeszcze raz na Roberta, przeszła się parę razy po izdebce i stanęła przed nim.

— Paniu Robercie, przemówiła głosem tak tklivym, jakiego Robert nigdy jeszcze od niej nie zasłyszał, pan jesteś aniołem opiekuńczym naszej nieszczęśliwej rodziny, cóż pana może wynagrodzić?..

— Przekonanie nasze pani, przekonanie, odparł Robert.

Nic więcej?.. dorzuciła tak pięściwie i czule, aż się Robert na nią wypatrzył.

— Nic, świat niema na to monety.

— Pan jesteś skromnym, lecz pozwolisz pan innym być szlachetnym.

Tutaj podała mu rękę do uścisku, Kazimierza ucałowała, a oddalając się, przyrzekła, że za chwilę powróci, wydawszy rozkaz przeniesienia chorego brata do pokojów pierwszopiętrowych.

Zaledwo się drzwi za nią zamknęły, przystąpił Robert do okna i z gorączkową niecierpliwością patrzył na drogę, z kąd miał przybyć lekarz oczekiwany. W rękę trzymał list Julii.

Ale lekarza długo nie było widać.

Tymczasem Kamila dopytała się o mieszkanie Julii i weszła do salonu. A weszła, jak widzieliśmy, w chwili

gdy Julja pokrzepiona [modlitwą do wykonania powziętej wielkiej myśli swojej, oczekiwała przybycia Roberta i matki.

Robertowi chciała śmiało powiedzieć, że ofiarą całego swego dotychczasowego życia i wychowania, ofiarą tradycyi i przcsądów, może się stać godną tej ofiary, jaką poniosło szlachetne jego serce. Jeszcze więcej, ona chciała dzisiaj, jak ów anioł na górze Mandebu, powstrzymać nóż ofiarny, który przebijał serce poety, ona chciała aby to serce poety żyło, żyło dla niej!. A matce chciała wyjawic swoje postanowienie, rzucić się do jej nóg, płakać i płakać łzami rozpacz, lub łzami szczęścia i zachwycenia.

W takiej to chwili weszła do salonu Kamila.

Z wrodzonym sobie taktem postąpiła naprzód.

— Nieznajoma zbliżam się dzisiaj do pani, rzekła z pewną dumą, ale stosunki nasze powinny nas zaznajomić.

Julia prosiła ją aby usiadła.

— Jestem siostrą Kazimierza, ciągnęła dalej Kamila, przyjeżdżam właśnie z Petersburga, aby uporządkować majątkowe naszego domu stosunki, które sławna ojca mego gościnność zbyt była nadwątlila. I właśnie w tej chwili dowiedziałam się o wielkiem nieszczęściu mego brata, lecz dowiedziałam się oraz, że szlachetne serce pani zmieniło to nieszczęście w szczęście nieopisane!

— Serdecznie się cieszę, odparła Julia, że poznana siostrę Kazimierza, najżywiej czuję jego nieszczęście, lecz niewiem, czy w moich siłach byłoby udarzyć go owem szczęściem, o którym pani wspomina.

— On się czuje nad miarę szczęśliwym, gdybyś go pani ujrzała, serce by ci urosło w piersi na widok jego szczęścia. Jego przyjaciel przyniósł mu od pani kilka słów nadziei, a te uzdrowią go dzisiaj.

— Jego przyjaciel jest szlachetny, bardzo szlachetny...

Kamila spojrzała badawczo w oczy Julii, i przenikliwym, kobiecym wzrokiem wyczytała coś w tych oczach, co wcale po jej myśli nie było. Zamyśliła się na chwilę i znowu rozjaśniło się jej czoło. Z oczu tylko strzeliła jakaś radość złośliwa.

— Szlachetność pani przewyższa wszystko, zaczęła po chwili, i bardzo słusznie. Pani jedynaczka, dziedziczka tak pięknego imienia, tak znakomitej fortuny, raczyłaś zwrócić się sercem do młodzieńca, który choć niemniej znakomicie się rodzi, jest jednak, raczej był dotąd, w oczach świata potomkiem podupadłej rodziny, bez majątku, bez niczego, co by go mogło rekomendować w kołach wyższego towarzystwa...

— I owszem, przerwała Julia, brat pani ma wiele przymiotów, co go mogą zalecić we wszystkich kołach, nawet wyższego, rozsądnego towarzystwa... mimo to... dziwię się...

— Ach, pani patrzysz już na niego okiem kochanki! lecz to jest szlachetnie ze strony pani!

— Nie mam prawa do tej szlachetności, o jakiej pani myślisz.. bo wybór mego serca..

— Wybór serca pani czyni je szlachetnem!. I we mnie widzisz pani towarzyszkę losu, i ja, choć w części, pragnę sobie przyswoić coś z tego szlachetnego uczucia, które panią tak zaszczyca!

— Zaprawdę, nieumiem dość jasno się wyrazić, ale pani..

— Uczucie wielkie, szlachetne, bezinteresowne, to nas czyni świętymi na ziemi, i za życia używa nam rozkoszy raj. O takim uczuciu marzyłam od lat dziecinnych i dzięki Bogu, jestem dzisiaj u celu.

— Pani kochasz?.. o to wiesz, co jest największą podniętą miłości!

— Byłam dzieckiem, igrałam po górach rodzinnych Wylazłam na wysoką skałę, bo zdawało mi się, że mam skrzydła, że jestem wyższą istotą nad wszystkich poddanych mego ojca. Lecz kamień się ukruszył, a jam zleciała w przepaść. Gdym oczy otworzyła, byłam w pokoju matki, powiedziano mi, że mnie uratował biedny chłopczyna, syn najbiedniejszego chałupnika. Spojrzałam w kolo siebie i ujrzałam go. Było to male czarnowłose chłopiętko. Z bijącym, szczerem sercem zbliżyłam się do mego wybawcy i jako siostra, ucałowałam go serdecznie. Ach, był to pierwszy uścisk młodej dziewczynki, powtórzył się za lat dziesięć, gdy czarnowłose chłopczyna był już dorodnym młodzieńcem. Bo chłopca tego wziął mój ojciec w dom i przez wdzięczność nadał mu równą z moim bratem edukacją.

— I byłaś pani szczęśliwą?.., on kochał panią?..! rzekła Julia, widocznie takim opowiadaniem rozciekawiona.

— O byłam szczęśliwą!.. była to pierwsza moja miłość i pierwsza jego miłość! Rzuciliśmy się na fale snów złocistych, i śniliśmy słodko, słodko, upojeni szczęściem kochankowie!..

— I to uczucie przerwało się? zapytała Julia szybko.

— Przysięgliśmy sobie, że wiecznie wytrwamy w naszych uczuciach, lecz świat i stosunki towarzystwa stanęły przed nami jak trup bez serca.

— I nie miałaś pani odwagi, przelamać tych zapor świata?..

— Ach pani ojciec nasz *etait un tyran*, był to prawdziwy tyran, arystokrata, tak jak go czasem powieściarze malują, aby mieć powieść. Był to człowiek wyniosły, dumny, wiele budował na swoje imię, ród i mienię. Wystawił pyszny zamek, założył park angielski, sześciu drabów przebrał w liberjów z złotymi guzikami, a już niańka

fracuska, śpiewała mi o hrabiach i księżętach. Wyobraź pani sobie teraz, że córka takiego pana romansuje z ubogim studentem, który był korepetytorem mego brata?..

— On był wybawcą pani! przerwała Julia

— Tak, wybawcą — ale to już dawno minęło. Zresztą za to otrzymał wychowanie. Pomyśl sobie pani ile ja wycierpieć musiałam, ile wycierpiał mój biedny Robert!

— Robert? powtórzyła Julia głosem bez dźwięku, podobnym do głosu urwanej nagle strony.

— Tak jest, Robert, ciągnęła dalej Kamila, a oczy jej jaśniały polyskiem szczęścia, Robert mój cierpiał katusze piekła. Ale musieliśmy oboje poddać się konieczności naszego położenia. Późniejsze wypadki rozłączyły nas na czas niejaki, ale serca nasze były zawsze do siebie chociaż w oddali. Wreszcie zjechaliśmy się w podróży, a kilka chwil wtedy z nim przepędzonych, dają mu prawo do posiadania serca i ręki!..

Julia wstała z krzesła i poczęła się niespokojnie przechadzać. Dziwne uczucia malowały się na jej twarzy. Gniew, ból, zazdrość, pogarda miotaly jej sercem, które się rwało jakby z piersi chciało ulecieć. Twarz jej pobladła, oczy posiniały.

Zapał Kamili rósł z każdą chwilą.

— Dzisiaj, mówiła dalej Kamila, gdy Julia dawne miejsce zajęła, jestem w stanie wynagrodzić jego cierpienia i memu wybawcy rękę ofiarować. Będąc w Petersburgu poznał mnie u krewnych moich pewien pułkownik, który żył z ojcem w wielkiej przyjaźni. Dowiedziawszy się o upadku naszego domu, przybrał mnie za córkę i zapisał mi majątek milionowy. Przyjeżdżam więc, aby długie, długie cierpienie!..

— O, to pani szlachetnie czynisz! przemówiła Julia z okiem dziwnie roziskrzonym, bardzo szlachetnie, a ktoby tak szlachetnym uczuciom chciał w drodze stanąć, tenby śmiertelnie zgrzeszył!..

— Muszę koniec położyć tak miłej zabawie, rzekła Kamila wstając z krzesła, bo idę do brata!..

— Idź pani do brata, bo on chory... on cierpi!..

— Z jakąż pociechą przyjdę do niego?

Szkarlatny rumieniec oblał twarz Julii, spuściła w dół oczy.

Robert wszedł do salonu.

Z twarzy Julii ustąpił rumieniec, w oczach pozostał jakiś blask uniebieńienia, a kolo ust zarysował się lekko uśmiech bólu.

— Pragnęłam pana widzieć, przemówiła patrząc w ziemię, bo ogrom pańskiej ofiary upokorzył mnie. Niechciałam przyjąć tej ofiary, i sądziłam że to szczęściem dla pana będzie. W tej chwili zmieniły się rzeczy. Ja dzisiaj

stojąc z dala, tylko na pana szczęście patrzeć się mogę!  
— Pani, rzekła zwracając oczy ku Kamili, jednak proszę  
mam tylko do pani — niech będę pierwszym świadkiem  
waszego szczęścia!...

Kamila chciała się rzucić w objęcie Roberta, ale Ro-  
bert stał jak głaz nieruchomy, niemogąc tej sceny zrozu-  
mieć!

— Robercie! wybawco mój! zawołała melodrama-  
tycznie Kamila — tyś pierwszy obudził uczucia moje,  
pierwszy sen miłości przesniłam obok ciebie — a te chwile,  
które przemknęły wśród ciszy samotnej, gdy po długim czasie  
po raz pierwszycie ujrzałam... te chwile nadają ci prawo do  
mego serca, do mojej ręki. Jestem dziś panią milionową,  
pułkownik przybrał mnie za córkę, a ja mogę sobą zarzą-  
dzać!...

Pot zimny wystąpił na czoło Roberta, Począł całą  
scenę rozumieć. Poblądł, nogi się pod nim zachwiały. Spoj-  
rzał na Julię, i wiedział że twarz jej wypogodziła się po  
ciężkiej burzy uczuć, i była cicha i spokojna jak oblicze  
anioła. W oczach jej jaśniało jakieś głębokie, niewymow-  
ne uczucie, na ustach był jeszcze ten sam uśmiech cichej  
nieokreślonej bolesti.

Kamila stała w postawie teatralnej, i ogniste spoj-  
rzenie utopiła w twarzy biednego młodzieńca!

Zbliżyła się do Roberta.

Postać Roberta wyprostowała się nagle, na twarz do-  
tąd bladą wystąpił rumieniec.

Wyciągnął naprzód rękę.

— Kobieto — zawołał groźnie — występna kobieto,  
grzesznico! Pogardzam tobą, co się błakasz na śmieciisku  
życia ludzkiego! Tę rękę, która cię z nad przepaści urato-  
wała, przeklinam dzisiaj, bo na niej ciąży wina dzisiejszych  
grzechów twoich!.. Lepiej, byś była zapadła na dno prze-  
paści, niżeli miały przez ciebie na świat przyjść grzech i  
zgorzenie!..

Spojrzał na Julię, i wyszedł.

Kazimierz jeszcze tego samego dnia doznał w cier-  
pianiach swoich upragnionej pociechy. (D. n.)

## POŻEGNANIE.

Przed progiem chaty pielgrzym wędrowny

Żegnał się smutny z dziećmi wiejskimi,

Unosząc w sercu żal niewymowny,

Że się na długo rozstawał z niemi.

Posłuszną lirę z korbeczką małą

Trzymał pod pachą i kij sękaty,

Swoją tułacką chudobę całą,

Jaką z spalonej ocalił chaty.

Chciwie powietrze rodzinne chwycił,

Usta milczące drżały widocznie,  
I patrzył w niebo jakby się pytał,  
Kędy znużony znowu odpocznie?...  
Powiędłe liście dębów omszonych  
Chłodny wiatr rzucał pod jego nogi;  
Dużo tych liści szronem zwarzonych  
Leciało szumiąc pośrodkiem drogi,  
A pielgrzym smutny o takiej porze,  
Odchodzić musiał w daleką stronę,  
W świat niegościnnie, za wielkie morze,  
Na obce, puste brzegi zamglone!

— Bywajcie zdrowe, dzieci maleńkie

Już ja wam więcej spiewać nie będę,

Pod siwym dębem już nieusiędę,

I nie pokręcę złotą lirenkę

Bywajcie zdrowe — niech was otacza

Zbawiciel świata swoją opieką,

Niechaj was cicha piosnka prostacza,

Piosnka miłości karmi jak mleko,

Piosnka, powiastka, którą wam plecie

Wiejska dziewczyna jedna za drugą,

O jasnym niebie, o innym świecie,

O świętych ludziach, długo, tak długo,

Aż wam się oczki do snu przymrużą,

A we śnie do was zlecą aniolki,

Na łąkę ciepłą gdzie kwiecia dużo,

Same lilijki, róże, fiołki,

A wszystkie kwiatki do nóg się kłonią.

I aż się proszą aby je zbierać,

I tak przedziwnie wzdychają wonią,

Jakby z miłości chciały umierać.

Dla was świat cały bez żadnej zmayı,

Jak woda w srebrnym, żywym potoku

Czysty, jak czysta żrenica w oku;

Lśniący jak świętych złote obrazy,

A miłujący jak serce matki;

A sprawiedliwy jak ojca ręka

Niewinny jak wy maleńkie dzieci

A miły sercu jakby piosenka.

O w takie światy niech was powieści

Dziwne, czarowne unoszą zawdy,

Lepiej wam jeszcze nieznać bolesti,

Lepiej wam nieznać okrutnej prawdy.

Pokąd spokoju i niewinności,

I świetnych marzeń o cudów kraju,

Pokąd nadziei wiary, miłości,

Dopotąd szczęścia, dopotąd raj;

Potem... lecz co tam, doznacie sami

Lub nie doznacie przy łasce Boga,

Ni długich godzin co płyną łzami

Ani powietrza, głodu ni wroga.

Jam doznał wiele, lecz smutek skryje  
 Na nowe idąc biedy tułaczę;  
 Mógłbym już nieżyć, a jednak żyję,  
 Mógłbym zapłakać, jednak nie płacę,  
 Bóg więcej cierpiał, a ja nikczemny,  
 Czemuż bym nie mógł wytrwać do końca,  
 Jeżeli dziś błądzę wśród nocy ciemnej  
 Da Bóg za grobem ujrzę blask słońca.

I z temi słowy pielgrzym ubogi  
 Odszedł w dalekie, nieznanne strony,  
 Jak liść lecący pośrodkiem drogi  
 Chłodnym, jesiennym wichrem pędzony.

T. Lenartowicz.

## JAK SIĘ U NAS ŻENIA.

Obrazek społeczny.

### III.

### WE LWOWIE.

(Ciąg dalszy.)

— Dobrze już... lecz ja cię nie przez patriotyzm py-  
 tałem: czy on Niemiec? Może on nie lubi Polaków?..

— Uwaga to głęboka, dyplomatyczna nawet, dowo-  
 dząca najjaśniej wysokiego i wszechstronnego uzdolnienia na-  
 szych głów polskich. Ale i w tem masz szczęście mój  
 Felixie. Twój Neubecker nie znieawidził naszego kraju, i  
 jego mieszkańców. Przeciwnie, z rodzajem wdzięczności pa-  
 trzy na kraj, który obrał za nową ojczyznę, z wdzięczno-  
 ścią na ludzi, którzy w nim współobywatela i młodszego  
 wielkiej rodziny brata powitali, z wdzięcznością nareszcie  
 pokochał ziemię, która go jedynem dzieckiem, jedyną na  
 starość pociechę obdarzyła.

— To jakiś uczciwiec.

— Uczciwiec i bardzo szanowny! Proste go a prawe-  
 go charakteru nie pozwala nikomu bezcześcić biednego kra-  
 ju i jego mieszkańców. Przeciwnie skoro usłyszy narzeka-  
 nia, wpada ci poczciwy Neubecker w taką wściekłość, że  
 ciągle woła: „Nicht schimpfen, denn meine Bertha ist doch  
 eine Polakinn!“ bo twoja przyszła nazywa się Berta, imię,  
 jak uważasz rycersko-romantyczne.

— Mniemasz więc że z ojcem nie będzie trudna  
 sprawa?

— Wszystko zależy od sposobu w jaki się weźmiesz  
 do sprawy. Stary jak każdy człowiek dorobkowy, jest skrzęt-  
 ny i kocha się w swoim dziele, to jest w zarobionym grosz  
 po groszu, na pieprze i cukru majątku. Trzeba więc na-  
 przeciw niego stanąć tobie w położeniu człowieka i mająt-  
 nego i skrzętnego. Przecież potrafisz udawać?

— Ha, cóż robić!

— A ponieważ stary kocha namiętnie i jedyną córkę,  
 więc zamęściu onej pewnie nie będzie się sprzeciwiał.  
 Zresztą jest to człowiek, który w sklepie nie wiele dalej  
 widzi, jak za ladą, a w domu prócz Berty, nie wiele wię-  
 cej jak żółtą trzcinę feldfeblowska, która na pamiątkę wo-  
 jaczki w kącie koło łóżka stoi. Cały dzień, nasiedziawszy  
 się w sklepie jak przykutą, zakłada Kanonenkreutz w dziur-  
 kę surduta, i idzie wieczór do traktjerni na puła i kostki,  
 ażeby z swojemi kolegami znowu się trochę nakłócić a kie-  
 dy już czwartą *pfifka* Maurera rozegrzeje się starowina,  
 wtenczas przypominając sobie: „die alten, guten Zeiten“ sta-  
 wia podochoconych swoich kolegów do szeregu i komende-  
 ruje niemi: „Halbe Division! En colonne! Marsch!“ Oto  
 masz cały i wierny portret przyszłego teścia swego.

— A panna Berta?

— Panna Berta co do wesołości, otwartości, a mia-  
 nowicie pewnej osobistej dumy, jest prawdziwą Polką, je-  
 ślibyś ją zaś ujrzał pomimo tak znacznego majątku pilnie  
 domowem gospodarstwem i kuchnią zajęta, i zaraz raniut-  
 ko już ubrana, od razu poznałbyś w niej najprawdziwszą  
 Niemkę, bo już też nie ma co w bawelnę obwijać, że Pol-  
 ka *pur sang* przed godziną jedenastą ani ubrana, ani za-  
 czesana nie jest.

— Jesteś uszczypliwy mój Józefie.

— Ale prawdę mówię. Córka więc Neubeckera, zda-  
 je się być nie złą dziewczyną, romantyczną w samą miarę,  
 i o ile mi mówiono, nie od tego zupełnie, by raz już  
 wyjść za mąż, a idąc za mąż, wołałaby oczywiście Polaka.

— A to dla czego?

— Nie przez zamilowanie jakiejś narodowości, na któ-  
 rej się wcale nie rozumie, ale ona, jak wszystkie tego ro-  
 dzaju mieszczanki, pod Polakiem: rozumie „polskiego panicza.“  
 Wychowana w mieście, przy oknie wychodzącem na ulicę, wi-  
 działa nie raz piękne powoziki, i piękne koniki a w nich,  
 siedzące piękne paniczekowskie figurki. To życie zamożniej-  
 szej szlachty polskiej przypadło jej oczywiście do smaku,  
 w marzeniach swoich woli zapewne jeździć wygodnym po-  
 wozem, niżeli dryptać piechoto po błocie. Jako więc re-  
 prezentant szlacheckiej młodzieży polskiej będziesz już miał  
 dla niej pewien powab, z którego korzystać twojem otąd  
 powinno być jedynem zadaniem.

— Lecz jakże się tam do domu wkreć?

— Otóż to właśnie co dowodzi twój szczęścia, i  
 wyraźnego palca przeznaczenia, i co jako najlepszy kasek  
 chowałem na ostatek. W głównej kamienicy na Halickiem,  
 gdzie mieszkają, i gdzie mają swój sklep, jest stacja do  
 najęcia.

— Nie może być!

— Jest i właśnie taka sama, jaka w podobnej oko-  
 licznosci, jest dla ciebie najstosowniejsza. Dwa pokoje i  
 przedpokój. Nie za wielka, nie za mała. Odpowiada zarów-

no człowiekowi mającemu się dobrze, który chce sobie żyć w mieście porządnie, i człowiekowi oszczędnemu, który nie chce niepotrzebnie trwonić pieniędzy. Zbieraj się więc, i idź co prędzej, zajmuj i sprowadzaj się. . . . . Ale jeszcze jedno.

— Cóż takiego?

— Potrzebujesz koniecznie służącego, bo już cię szlachcic polski, mający ogromną wieś, nie może przecie być bez służącego.

— Masz racją!

— Ja zawsze mam racją. O służącego łatwo lecz w położeniu, jakie tam w kamienicy zająć zamysłasz, służący może stać się jedną z najważniejszych sprężyn, bo przecież sam nie będziesz głosił po kamienicy gdzie twoja wieś leży, jakie w niej łany, jakie lasy, woły, krowy, cielęta i inne obywatelskie bogactwa.

— Ty jesteś wielki człowiek, mój Szpakowski.

— Praktyczny tylko. Owoż taki służący, najlepiej rozgłosi to wszystko pomiędzy pokojówkami, niańkami i mamkami kamienicznymi.

— Gdzież znaleźć go?

— I takiego to służącego ja mam już dla ciebie. Zrozumie on każde pół słowo, i już jest po części przezemnie przygotowany, a głównie obietnicą stu ryńskich, jeśli zamierzone małżeństwo przyjdzie do skutku. Zrozumiał mię od razu urwisz, i wiem że ci wiele pomódz może, bo ja go znam nie od dzisiaj; służył on już u dwóch zbankrutowanych i zgranych paniczów naszych. Łatwo więc pojąć możesz że jest przebiegły. W południe przyjdzie do ciebie. Nazywa się Marcelli.

— Mój drogi! wierzaj że wdzięczność moja będzie bez granic i wieczna.

— Wdzięczność jest piękne słowo, ale nie zawsze: „dźwięczne"! ozwał się Szpakowski z dowcipnym i wiele znaczącym uśmiechem.

— Będzie i dźwięczne! odpowiedział pan Felix, ściskając przyjaciela za rękę, i obydwaj z siebie kontenci wesoło wyszli na ulicę. (C. d. n.)

## Rozmaitość.

**Z Truskawca.** Już dawno może nie liczył Truskawiec tyle gości ile w tegorocznym sezonie kąpielowym. Do pierwszych jeszcze dni bieżącego miesiąca było tu przeszło 600 osób, przybyłych dla ratowania zdrowia u zbawionych źródeł tutejszych. Najliczniej była zastąpiona klasa obywatelstwa ziemskiego, duchowieństwa obrz. kat. i starozakonnych. Tak liczny zjazd jest równie dla dzierzawcy zakładu jakoteż dla gości kąpielowych powodem różnych dogodności i niedogodności. Dogodność wynikająca dla dzierzawcy jest widoczna i śmiało twierdzić można, że p. dzierzawca może z dochodów zebranych w tym roku powetować wszelkie mniemane straty poniesione w poprzednich niepomyślnych latach swej dzierzawy. Niedogodność zaś dzierzawcy zależy zdaniem mojem w tem, że przy tak wielkiej, nieprzewidzianej

konkurencji a nieobmyślanych na ten przypadek stosownych środków, nie jest wstanie odpowiedzieć należycie wszelkim słusznym żądaniom gości i przyjętym w obec nich zobowiązaniom. Zład obustronne nieprzyjemności i nie miłe zawody, które od częstszego odwiedzania Truskawca łatwo odstręczyć mogą. Dla gości zaś kąpielowych jest liczny zjazd o tyle tylko dogodny, o ile nastręcza większą sposobność upragnionych w każdym kąpielach przyzwyczajonych rozrywek. Jakoż zjazd tegoroczny odpowiedział bardzo pomyślnie tym warunkom. Liczne zebrane obywatelstwo ziemskie, połączone bądź stosunkami dawnej zażyłości i przyjaźni, bądź znajomością świeżo a łatwo w Truskawcu zrobioną, musiało ochraniać się od nieochybnych nudów życia kąpielowego i czas mile przepędzać. Codziennie prawie bywały w sali zakładu schłodnie i z gustem ozdobionej, tak zwane reuniony wieczorne, gdzie zebrane doborne towarzystwo w śród konwersacji, gier towarzyskich, a często przy skoczonym mazurku, szalonej polce i zalotnym kadrylu mile czas spędzało. (D. n.)

### Od Spasa. (Dokończenie.)

Zjazd do kąpiel żętycznych w Spasie, był tego roku nader znaczny, mianowicie stan ziemskich obywateli w przyległych Spasowi miejscach jak Bussowisko, Terszów, Łużek i Staremiasto był dość licznie reprezentowany. Spas sam miał w porównaniu z ubiegłymi latami bardzo mało gości i to wyłącznie prawie samych żydów. Leża c. k. wojska, zaniedbanie przechadzek i brak odpowiedniego miejsca do kąpiel rzecznych pozbawiły go w tym roku i najwycyżajniejszych gości. Ogólnie dał się uczuć brak lekarza jakoteż porządnej apteki. Przy pierwszym też wypadku cholerycznym wszczął się taki popłoch między kąpielowemi, iż większa część tychże w przeciągu trzech dni Spas i jego okolicę opuściła. Cholera atoli nie jest u nas tak gwałtowna o jakiej nas wieści z Przemyśla, Lwowa i Gródka dochodzą. Okazuje się wprawdzie i w naszych małych miasteczkach dość znaczna śmiertelność, jednakowoż liczba wyzdrowiających przewyższa o wiele umarłych. Wyłącznie grasowanie cholery między samymi starozakonnymi w Samborze, naprowadziło tychże na koncept o tyle śmieszny o ile talmudycznie zabobonny.

W całym Samborze nie ujrzyś żyda bez jakichś pierścionków z kory brzozonej, łańcuszków z słomy pszenicznej i innych tym podobnych kabalistycznych prezerwatyw od cholery. W Staremiście przy rzadkich wprawdzie wypadkach cholerycznych okazuje się sprowadzona tamże jakaś preparatywa aptekarza lwowskiego pana Fr. Tomanek nadzwyczaj skuteczna. Miałem sam sposobność widzieć człowieka zupełnie już w kurczach zsiniałego którego wymieniony środek lekarski, składający się z miksury do zażywania i płynu do nacierania krzyżów, w nadmiar krótkim czasie na powrót do zdrowia przyprowadził. Ukończenie budowy głównego gościncea do Pesztu na Staremiasto, Turkę i Użok ma w tym jeszcze roku z największym doprowadzone być pospiechem. Na początku też lipca odbyła się w tym celu na granicy węgierskiej narada między starostą Samborskim p. Balko, inżynier-assistentem Rappe i przewodzącym komitetu Ungwarskiego baronem Molawetz, gdzie wszystkie zachodzące trudności co do kierunku gościncea w przejściu przez granicę zupełnie usunięte zostały.

Pierwsza podobna narada odbyła się jeszcze w r. 1819 bez osiągnięcia atoli pożądanego wyniku. Możemy się zatem z pewnością spodziewać iż z rokiem następnym otworzy się już regularna komunikacja pocztowa między Pesztem a Lwowem tą drogą. Przyczyni się to nie mało do podniesienia podróży miasteczek, jak Staremiasto i Turka. To ostatnie zamysła nowy nabywca, stolarz tryesteński Goslar, zamienić w zakład kąpielowy na wzór Prisztza i do tego już czasu do 40000 złr. m. k. wyłożył na same tylko budowy i upiększanie.

\* Na dniu 6go Sierpnia zachorowało 117 na cholere osób, a umarło 55. Ogółem od powstania zarazy zapadło 4188, a umarło 2037 osób.

**Przyjechali** od dnia 8. do 9. Sierpnia do Lwowa.

PP. Jabłonowska Franciszka hr. z Krakowa. Dobrzański Stanisław z Daszawy. Tretter Nestor z Tarnopola.

PP. Kieszkowski Józef z Hrusiatycz. Kieszkowski Stanisław z Rudek. Dworzak Jan z Żółkwi. Zaklika Edward z Hawłowiec. Mier Włodzimierz hr. Dołęzanki.

**Wyjechali** od dnia 4. do 8. Sierpnia ze Lwowa.

PP. Tyniecki Erazm do Złotnik. Dzieduszycki Władysław hr. do Krakowa.

PP. Badeni Alexander hr. do Gajów.

W handlu **Karola Schubutha** we Lwowie przy ulicy krakowskiej pod liczbą 50, dostać można:

Genthona



c. k. uprzywil.

**Likier**

**Badeński.**

Ponieważ znakomite przymioty i skutki tego wyrobu ogólnie są znane i tenże przez szanowny fakultet medyczny wiedeński ze względu sanitarnego za **dobry** potwierdzony został, a przez chwalebne poświadczenie szanownej publiczności i c. k. wojskowości, **szczególne** zaś przez broszurę Dra. Ludwika Dürra o tymże likierze napisaną (a do każdej flaszki bezpłatnie się dodająca) powszechnie oznajmiony jest, przeto niepotrzeba nam wszelkiego samochwalstwa.

Cena: wielka flaszka 2 zlr. m. k.

mała „ 1 „ „ „

**Styryjski**

**SOK Z ZIOŁ**

dla cierpiących na piersi.

Sok ten potwierdził się dotąd jako skuteczny, *nawet według doświadczeń najświetniejszych lekarzy w Wiedniu i Gracu, w sposób nadzwyczajnie pomyslny, mianowicie na kaszel, influencję, katar, ból gardła i piersi.* Mnóstwo osób, które go dotąd używały, zapewniają że się im sok ten stał niezbędnym, oraz że wyłącznie środkowi temu zawdzięczają *ulgę i spokojne noce.*

Mając smak przyjemny, jest nietylko dzieciom miły i pożyteczny, lecz także osobom sędziwym, chorowitym i cierpiącym na płuca potrzebny, mowcom publicznym i śpiewakom wielce pożądanym środkiem na przyćmienie głosu albo też chrypkę.

Dorośli zażywają według potrzeby, czy to we dnie czy w nocy, 4 lub 5 łyżek stołowych, niejaki czas przed lub po użyciu strawy; dzieciom daje się go w stosunku do ich wieku łyżeczkę do herbaty lub kawy.

Do dzisiejszego Numeru dołączone jest ogłoszenie kupieckie o sprzedaży herbaty chińskiej.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**

**Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2. popołud.**

Augsburg za 100 zlr.	119%	Pożyczka 5%	77	—
Hamburg za 100 tal. banco	86%	Akcyje banku	956	—
Londyn za 1 funt szterl.	11 30	Kolej północna	2032 1/2	—
Medyolan za 300 lirów	117 1/2	Obl. ind.	74	—
Paryż za 300 franków	138 1/2	Nowa pożyczka z loterya	100	—
Agio duk. ces.	23%	Pożyczka narodowa	82%	—

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	zlr. 5	kr. 32	zlr. 5 kr. 35
Dukat cesarski	„ 5	„ 35	„ 5 „ 36
Półimperyal zł. rosyjski	„ 9	„ 33	„ 9 „ 37
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 51	„ 1 „ 52
Talar pruski	„ 1	„ 46	„ 1 „ 47
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 21	„ 1 „ 22
Galicyjskie listy zastawne za 100 zlr. bez kuponu	93	„ 15	93 „ 30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	„ 30	70 „ 45
5 proc. pożyczka narodowa	82	„ 15	82 „ —

Sok ten należy zawsze w miejscu chłodnem przechowywać. — Flaszki soku styryjskiego są ze szkła białego, ku wierzchu stożkowo się kończące i cynową kapsułką starannie zatknięte, na których, różnie jak i na flaszkach samych wyciśnięty napis: „Apotheke zum Hirschen in Gratz“ (Apteka pod jeleniem w Gracu) i „J. P. A.“; zresztą opatrzone są etykietami, oraz podpisem producenta.

Cena jednej flaszki 1 zlr. m. k.; mniej jak dwie flaszki nie przesyła się. Opakowanie dwóch lub czterech flaszek kosztuje 20 kr. m. k.

**J. Purgleitner,**

aptekarz, producent styryjskiego soku w Gracu.

**Wypróbowany**

od kaszlu i na płuca skuteczny, pożywny

**PROSZEK.**

Szczęśliwe kuracje, których przez zapisywanie tego proszku dla jego wybornych i skutecznych własności najświetniejsi weterynarze dokonali, zrobiły go najpierwszym środkiem od wszelakich słabości wszelkiego rodzaju zwierząt, a każdy gospodarz ma je zawsze prawie w zapasie.

Leczy się nim gruntownie wszystkie płucowe słabości bydła rogatego, dychawicę, kaszle i zapalenie płuc. — Przy odgciach, kolkach i zatkaniach, okazuje się bardzo skutecznym, zadawany w wiekszych ilościach. Gdy zaraza wybuchnie, dawany ten, proszek bydłu, ochrania go od zarażenia się.

W ogóle skutecznym jest bardzo dla wszystkich zwierząt ssących, poprawiając szybko mleko, tak iż masło w pół godziny zrobić można. Krowy dające złe mleko, już trzeciego dnia dają dobrą śmietanę. Służy do przeczyszczenia bydła przy ocielaniu, gdy na czezo i o godzinie 9. daje się bydłu po jednej lub dwie łyżek. Także dla nierogacizny jest skutecznym, również jak na zolży u koni. Wypróbowany jest wreszcie środkiem do czyszczenia krwi i spędzenia wszystkich zarodków chorób z ciała. Daje się jedną lub dwie łyżek z chlebem lub w osypce; cielętom zaś po pół łyżce.

Mała paczka 30 kr. m. k.

(2-3)

Duża „ 1 zlr. „ „

(137)